MARCELINA BARANOWSKA



KREW, KTÓRA PAMIĘTA

KREW, KTÓRA PAMIĘTA

MARCELINA
BARANOWSKA

Prolog

Instynkt nigdy się nie myli. To my nie zawsze potrafimy zrozumieć jego ostrzeżenie.

Obserwowałem zgromadzone na sali istoty.

Kwartet smyczkowy grał cicho na niewielkim podwyższeniu ustawionym w rogu. Dźwięki instrumentów próbowały przebić się przez gwar rozmów, śmiech i delikatne postukiwanie kieliszków. Wszędzie wokół połyskiwały drogie tkaniny, biżuteria i wypolerowane buty. Smokingi, suknie, wymuszone uśmiechy.

A poza tym wszystkim – zapach.

Drogie perfumy mieszały się z naturalną wonią każdego z obecnych. Dla zwykłego człowieka byłaby niemal niewyczuwalna. Dla mnie stanowiła drugą warstwę rzeczywistości.

Po zapachu potrafiłem rozpoznać, kto wypił za dużo, kto się bał, kto kłamał, a kto był podekscytowany. Strach miał swój własny aromat. Tak samo pożądanie, gniew i niepewność.

Bycie Alfą tylko wyostrzało moje zmysły.

Skanowałem pomieszczenie, zatrzymując wzrok na kolejnych twarzach. Nie lubiłem takich spotkań. Tłumów, fałszywych uprzejmości i rozmów, w których każde słowo miało ukryte znaczenie.

A tych, które dotyczyły mnie, nienawidziłem najbardziej.

Starszyzna od miesięcy próbowała wymusić na mnie związek z Ember. Według nich mój wiek i pozycja zobowiązywały do posiadania Luny. Potrzebowali kobiety u mojego boku. Kogoś, kto stanie obok mnie podczas oficjalnych spotkań i którego obecność uspokoi tych, którzy wciąż uważali, że jestem zbyt młody, by przewodzić watasze.

Ember była idealnym wyborem.

Córka odpowiedniego człowieka. Z odpowiedniego rodu. Wychowana tak, jak powinna być wychowana przyszła Luna.

Tylko że ja nie potrzebowałem odpowiedniej kobiety. Potrzebowałem tej *właściwej*.

W głowie wciąż miałem opowieści matki o Więzi Przeznaczenia. O połączeniu, którego nie dało się wymusić ani zaplanować. O chwili, w której dwa wilki rozpoznawały się bez jednego słowa. Mówiła, że wtedy cały świat przestaje mieć znaczenie.

Że serce wie pierwsze.

Że instynkt nie pyta o zgodę.

Wierzyłem jej. A może po prostu czułem, że gdzieś tam naprawdę istnieje ktoś, kto czeka właśnie na mnie.

Nie zamierzałem przewodzić watasze z kobietą, której obecność w moim życiu byłaby jedynie wynikiem politycznej kalkulacji. Nie chciałem pozorów. Chciałem więzi.

Ludzie podchodzili do mnie jeden po drugim. Witali się, przedstawiali, próbowali nawiązać rozmowę, zaoferować sojusz albo zdobyć moje względy. A ja myślałem tylko o jednym. O tym, żeby wyjść z tej sali. Zerwać się do biegu. Pozwolić, by kości zaczęły się przesuwać, a skóra przyjęła kształt, który był dla mnie bardziej naturalny niż ten ludzki.

Chcieliśmy poczuć ziemię pod łapami.

Wiatr smagający sierść.

Las.

Wolność.

Zamiast tego stałem wśród tych wszystkich wilków, ściskając w dłoni kieliszek szampana. Czyż to nie było absurdalne?

– Uwaga. Zbliża się Alfa Południa – powiedział cicho mój beta. Soren. Przyjaźniliśmy się od lat. Uczynienie go moją prawą ręką było naturalną koleją rzeczy. Nikomu nie ufałem bardziej.

Nikomu innemu nie powierzyłbym swojego życia.

– Widzę – odpowiedziałem i upiłem łyk alkoholu.

Zapach dotarł do mnie pierwszy. W naszym kierunku pewnym krokiem zmierzał starszy, siwiejący mężczyzna. Towarzyszyła mu, oczywiście, jego najstarsza córka.

Ember.

Jej ojciec uśmiechał się tak, jakby właśnie przyszedł już tylko sfinalizować transakcję, której warunki już dawno ustalono. Ember była piękna. Spokojna, opanowana. Idealna. I kompletnie nie dla mnie.

Poczułem, jak mięśnie szczęki napinają się mimowolnie.

Każdy miał własne argumenty za zawarciem tego małżeństwa. Tylko że żadnego z nich nie obchodziło to, czego chciałem ja. Wiedziałem jedno: to nie była właściwa decyzja. Gdzieś głęboko pod skórą czułem, że życie przygotowało dla mnie coś zupełnie innego. Coś większego. Coś, czego jeszcze nie potrafiłem nazwać.

– Silas. – Mężczyzna przywitał się ze mną skinieniem głowy. – Udana impreza.

– Witaj, Lucianie. Bawcie się dobrze – odpowiedziałem, unosząc kieliszek.

Posłał mi jeszcze jeden z tych swoich uprzejmych uśmiechów, a ja odszedłem, by powitać kolejnych gości.

***

Przez kilka następnych minut prowadziłem niezobowiązującą rozmowę z Alfą Wschodu. Dyskusja była na pozór koleżeńska, choć w naszym świecie nawet najzwyklejsze słowa potrafiły skrywać drugie dno.

– Są nieposkromione – mruknął Kane, kiedy zeszliśmy na temat jego watahy. Miał ostatnio problem z młodymi wilkami. – Przed przemianą hormony robią swoje. A zbliżająca się pełnia tylko dolewa oliwy do ognia.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Doskonale wiedziałem, o czym mówił. Każdy młody wilk był niebezpiecznym

połączeniem siły, instynktu i braku doświadczenia. Zwłaszcza kiedy ciało zaczynało przygotowywać się do pierwszej przemiany. Wtedy zwierzę pod skórą stawało się głośniejsze. Bardziej natarczywe. Domagało się uwagi, przestrzeni i wolności.

Stulecia temu pełnia miała nad nami władzę. Dawno jednak nauczyliśmy się panować nad swoją naturą. Księżyc nadal był istotny, ale nie odgrywał tak wielkiej roli. Nie potrzebowaliśmy go już, by przybrać wilczą postać. Mogliśmy zrobić to, kiedy tylko chcieliśmy.

Wszystko się zmieniło, gdy pozwoliliśmy, by wilk wyszedł na powierzchnię. Nie traktowaliśmy go jak bestii zamkniętej w klatce. Byliśmy z nim jednością. Dwa umysły. Jedno ciało i jeden instynkt.

I właśnie dlatego młode wilki tak często miały problem z kontrolą. Nie każdy potrafił od razu zaakceptować, że pod jego skórą żyje coś równie silnego jak on sam.

– Przejdzie im – powiedziałem spokojnie. – Każdy przez to przechodził.

Kane prychnął.

– Nie każdy próbował wtedy podpalić samochód własnego ojca.

Stojący obok mnie Soren parsknął śmiechem. Nawet ja nie potrafiłem zachować całkowitej powagi. Czułem, jak kącik ust drga mimowolnie.

Rozmowa na chwilę ucichła. Rozejrzałem się po sali. Minęło tyle lat, a wciąż trudno było mi uwierzyć, jak bardzo zmienił się nasz świat.

Kiedyś polowaliśmy na siebie nawzajem. Wilkołaki, czarownice, wampiry, a nawet ludzie. Przez stulecia granice naszych terytoriów wyznaczały wojny, krew i nienawiść. Dziś wyglądało to zupełnie inaczej.

Nauczyliśmy się współistnieć w tym świecie. Przestrzegać zasad. Zawierać sojusze. Współpracować, kiedy wymagała

tego sytuacja. Wojny zakończyły się dawno temu – przynajmniej te, które pamiętali nasi dziadkowie. Teraz każdy gatunek miał swoje miejsce.

Przynajmniej tak lubiliśmy myśleć. Tak naprawdę wiedziałem, że wystarczyłaby jedna zdrada, jeden złamany pakt, jedna śmierć, której nie dałoby się wybaczyć. I cały ten misternie zbudowany pokój mógłby runąć, nim ktokolwiek zdążyłby zareagować.

Przesunąłem językiem po kłach, czując znajome napięcie w szczęce. Mój wilk również to wyczuł. Coś było nie tak. Nie potrafiłem jeszcze powiedzieć co, ale nie miałem wątpliwości.

Zacząłem rozglądać się po morzu smokingów i pudrowych sukni z nową czujnością. Kolejne twarze przesuwały się przed moimi oczami, aż nagle kątem oka dostrzegłem coś, co nie pasowało do reszty tego obrazu.

Czerwień.

Krwistoczerwony skrawek materiału znikający za drzwiami drugiego pomieszczenia.

Zmarszczyłem brwi. Nie wiedziałem dlaczego, ale coś we mnie drgnęło. Nie mój rozum. Instynkt. Wilk pod skórą podniósł łeb. Zatrzymałem się na moment, próbując zrozumieć to dziwne przyciąganie. Było subtelne, ledwie wyczuwalne, a jednocześnie wystarczająco silne, żebym na chwilę zapomniał o gościach i całym tym cholernym przyjęciu.

Ruszyłem za czerwienią.

– Silas.

Głos zatrzymał mnie w pół kroku. Viggo. Alfa Północy. Odwróciłem się do niego niechętnie.

– Czy nasza rozmowa może poczekać? Muszę…

Urwałem. Sam nie wiedziałem, co właściwie muszę zrobić.

– Oczywiście, przyjacielu – odpowiedział starszy mężczyzna, klepiąc mnie po ramieniu. – Nie zamierzałem odciągać cię od obowiązków.

Oddaliłem się, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze.

Czerwień. Musiałem ją znaleźć. Przeszedłem przez kolejną salę, ignorując spojrzenia mijanych wilków. Pomieszczenie było pełne naszych, jednak jej nigdzie nie widziałem. Zatrzymałem się. Gdzie zniknęła? Mój wzrok przesunął się po ścianach, drzwiach, stojących przy nich gościach. I wtedy w umyśle błysnęła jedna myśl.

Taras.

Nie zastanawiałem się długo, ruszyłem w jego kierunku. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, przez chwilę pomyślałem, że się pomyliłem. Balkon wydawał się pusty.

Chłodne powietrze natychmiast przyniosło ulgę moim zmysłom. Za plecami nadal słyszałem muzykę i przytłumione głosy, ale tutaj wszystko było spokojniejsze. Kojące. Odwróciłem głowę.

I wtedy ją zobaczyłem. Stała kilka metrów dalej, zwrócona do mnie bokiem.

Czerwień jej sukni odcinała się od jasnego marmuru, na którym opierała dłoń. Wiatr poruszał materiałem i rozwiewał jej włosy, odsłaniając linię szyi.

Zamarłem. Nie dlatego, że była piękna, choć to było olśniewająco oczywiste. Nie dlatego, że różniła się od każdej kobiety na przyjęciu. Moją uwagę przykuła cisza, która ją otaczała. Zaciągnąłem się nocnym powietrzem.

Raz.

Nic.

Zmarszczyłem brwi i wziąłem głębszy wdech. Potem jeszcze jeden. I jeszcze raz.

Pusto.

Moje ciało zesztywniało. To było niemożliwe. Każdy miał zapach. Każdy! Ludzie, wilkołaki, wiedźmy… Wszystkie istoty pozostawiały po sobie ślad, który moje zmysły potrafiły wychwycić.

A ona?

Nic.

Jakby stała przede mną, a jednocześnie w ogóle jej nie było. Mój wilk poruszył się gwałtownie. Nie znał jej. Nie potrafił jej rozpoznać.

I właśnie to było najbardziej niepokojące.

Kobieta odwróciła głowę.

Niemal czarne tęczówki przeszyły mnie spojrzeniem. Poczułem, jak po plecach spływa mi cienka strużka potu. Nie ruszyłem się. Ona również. Dzieliło nas zaledwie kilka metrów, a miałem wrażenie, jakby pomiędzy nami rozciągała się przepaść. Jej spojrzenie było spokojne. Ciemna oprawa oczu nadawała jej twarzy czegoś tajemniczego. Dzikości.

Tak. To było najlepsze określenie. Była dzika. Nie w sposób, który można było dostrzec na pierwszy rzut oka. To było coś głębszego. Coś, co wyczuwało się pod skórą.

Kim ona jest?

Ponownie spróbowałem wyczuć jej zapach. Po raz kolejny bezskutecznie.

W mojej głowie natychmiast zaczęły się kłębić kolejne możliwości. Wilkołak? Gdyby tak było, poczułbym jej wilka. Wiedźma? Może. Ale magia również miała swoją woń. Czasem subtelną, czasem wręcz niezauważalną, ale zawsze obecną. Wróżka? Ta myśl była absurdalna. A jednak żadnej z tych możliwości nie potrafiłem wykluczyć.

Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. I po raz pierwszy mój instynkt nie podpowiadał mi, czy powinienem się zbliżyć, czy uciekać.

Podpowiadał mi tylko jedno.

Nie spuszczaj jej z oczu.

Bo cokolwiek stało przede mną… nie powinno znaleźć się na tym przyjęciu. A już na pewno nie powinno stanąć na mojej drodze.

Rozdział 1

Każda istota pozostawia po sobie ślad. Jeśli go nie ma, zacznij się bać.

Kochałam noc.

Ciemne, rozgwieżdżone niebo, blask księżyca i ten zapach. Zawsze uwielbiałam zapach nocy. Chłodne powietrze przesycone wilgocią, mchem… i czymś jeszcze. Czymś obcym.

Rozejrzałam się po ogrodzie. Wychodził prosto na las.

Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że Alfa już tu jest. Wzięłam głęboki wdech i dopiero wtedy skierowałam ku niemu spojrzenie. Studiowałam jego twarz centymetr po centymetrze.

Był ogolony, jednak przebijający się ciemny zarost zdawał się rzucać cień na jego policzki i podbródek. Długie czarne włosy miał zaczesane do tyłu, opadały mu lekko na kark. Opalona, brązowa skóra kontrastowała z jasnym spojrzeniem.

To właśnie oczy zostawiłam sobie na koniec. Miały kolor zimowego nieba. Były błękitne. Przenikliwe. Takie, które potrafiły przeszyć człowieka na wskroś.

– Alfo – powiedziałam cicho i ukłoniłam się nisko. – Miło mi cię w końcu poznać.

Uśmiechnęłam się, ale nie ruszyłam z miejsca. Wolałam zachować dystans, zwłaszcza teraz. Było jeszcze za wcześnie.

On również mi się przyglądał. Widziałam, jak bierze głęboki wdech. Potem kolejny. Zdawałam sobie sprawę, po co to robi.

Szukał mojego zapachu. Ale nie miał szans go znaleźć.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu. – Albo raczej… czym jesteś?

Przymknęłam na moment powieki, kiedy usłyszałam jego głos. Nie spodziewałam się, że tak na niego zareaguję.

Niski. Spokojny i pewny.

– Nikim szczególnym, Alfo.

W końcu odsunęłam się od balustrady. Na szczęście taras był wystarczająco szeroki, żebym mogła wyminąć mężczyznę bez konieczności zbliżania się do niego.

Nie zamierzałam dawać mu okazji, żeby mnie dotknął. Nie chciałam, żeby znów próbował wyczuć moją magię. I przede wszystkim nie chciałam, żeby zadawał kolejne pytania.

– Zaczekaj. Nie możesz…

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Szybkim krokiem weszłam do rezydencji.

Dopiero kiedy znalazłam się za drzwiami, pozwoliłam sobie wypuścić powietrze z płuc.

Uniosłam dłoń. Palce poruszyły się w dobrze znanej mi kolejności. Jeden gest. Drugi. Trzeci. Pod nosem wymruczałam krótką formułkę. Magia przesunęła się po mojej skórze niczym zimny powiew. Zaklęcie maskujące.

Na chwilę wystarczy.

Ruszyłam do głównego wyjścia, a kiedy znalazłam się na zewnątrz, jeszcze raz strzeliłam palcami. Zaklęcie rozproszyło się bezgłośnie. Wsiadłam do samochodu.

***

Po trzydziestu minutach dotarłam na miejsce. Niewielki domek stał na obrzeżach miasta. Za nim zaczynał się las – gęsty, dziki, niemal nietknięty przez cywilizację. Rezerwat znajdował się na wyciągnięcie ręki, zaledwie kilometr ode mnie. To właśnie dlatego wybrałam ten dom. Potrzebowałam miejsca, w którym mogłam oddychać. Zdjęłam szpilki i boso przeszłam przez werandę. Wyciągnęłam z torebki klucze i kiedy usłyszałam ciche kliknięcie zamka, weszłam do środka.

Machnęłam dłonią. W całym pomieszczeniu zapaliły się świece, a płomyki rzuciły ciepłe, pomarańczowe światło na

ściany i meble. Uwielbiałam ten widok. Przeszłam przez duży salon i weszłam do pokoju, który przekształciłam w swoją pracownię.

Pod sufitem wisiały pęki ziół. Rumianek, rozmaryn, szałwia i wiele innych, których aromaty znałam lepiej niż zapachy większości ludzi. Napełniłam płuca znajomą wonią. Tutaj mogłam wreszcie poczuć się jak u siebie. Usiadłam na wysokim krześle i bezmyślnie zaczęłam przekładać rzeczy na wielkim dębowym stole.

Buteleczki. Menzurki. Palnik. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a jednak potrzebowałam zająć czymś ręce. Spotkanie z Alfą kosztowało mnie więcej, niż zakładałam.

Potarłam skronie i spojrzałam na regał ustawiony pod ścianą. Na półkach stały pamiątki z całego mojego życia: książki, uschnięte kwiaty, biżuteria, opaski na ramię, sztylety i wiele, wiele innych rzeczy. Czasami przypominało mi to gablotę w muzeum archeologicznym. Tyle że każdy z tych przedmiotów należał do mnie. Każdy miał swoją historię.

Zaparzyłam rumianek z lawendą. Już miałam iść do łazienki, by przygotować sobie długą kąpiel, kiedy coś poczułam. Moc. Lekkie muśnięcie na granicy pola, którym zabezpieczyłam dom i jego okolice. Zatrzymałam się. To nie była moja magia.

Odstawiłam kubek na stół i wyszłam na werandę. Skanowałam linię drzew, próbując odnaleźć miejsce, w którym pojawiła się anomalia, ale napotkałam jedynie ciemność i pohukiwanie sowy. Nie było tam nic więcej. Może jakieś magiczne stworzenie przechodziło obok bariery? Przez chwilę stałam nieruchomo, nasłuchując. Las milczał.

W końcu wróciłam do domu, zabrałam porzucony kubek i przeszłam prosto do sypialni. Była praktycznie pusta. Nie licząc łóżka, w rogu pokoju stały tylko nierozpakowane kartony z rzeczami osobistymi. Mieszkałam tutaj niespełna dwa tygodnie. Chyba najwyższy czas się rozpakować. Ale nie dzisiaj. Teraz musiałam odpocząć.

Kołdra i poduszki otuliły mnie, kiedy położyłam się na materacu. Przez moment wpatrywałam się w sufit. Cienie gałęzi poruszały się na nim powoli wraz z każdym podmuchem wiatru. Przymknęłam oczy i wzięłam kilka głębokich wdechów. Rozluźniłam spięte mięśnie. Chciałam przestać myśleć.

Po kilku minutach odpłynęłam w sen.